

OLGIERD BUDREWICZ

## KOLOROWE DZIEJE

Pewnego ciepłego, pogodnego wie-  
czoru spotkałem — a było to w po-  
łudniowoamerykańskiej republice  
Paragwaj — starego rolnika spod  
Lubartowa, pana Józefa Lipskiego.  
Polski chłop od pół wieku gospodar-  
kuje w osiedlu Carmen, koło Encar-  
nacion, w pobliżu granicy Argentyny.  
Lipski opowiadał mi długo, przy-  
akompaniowaniem gry paragwaj-  
skich świątecznych, o dramatycznych  
przeżyciach w amerykańskim inte-  
riorze, w końcu zaś wyznał: „Ja, pa-  
nie, do dziś nie umiem gadać po his-  
zpańsku...”

Historia wyjęta z książek Sienkie-  
wicza! Nieprawdopodobna, jak ko-  
leje losu Polaków w świecie.

Trawestując zawołanie ze „Słu-  
bów Panieńskich” Fredry, można by  
zakrzyknąć: „Ech, Polacy, Polacy,  
piekło was zrodziło! Ze też nie ma  
kraju, gdzie by was nie było!”

Polacy na szerokim świecie wy-  
kazują od dzieciństwa, od setek lat  
fenomenalną odporność, wytrzyma-  
łość, pomysłowość, solidarność w  
ciężkich chwilach, zaradność, żywot-  
ność. Chciałbym też prywatnie do-  
dać: są lojalnymi obywatelami swej  
nowej ojczyzny, ale prawie zawsze  
teskną do kraju nad Wisłą; inna  
sprawa, że często wspominają Pol-  
skę jak dziewczynę, którą kochali  
w młodości...

Powiada przysłowie: „W moim  
kraju moje nazwisko — w obcym  
kraju moje ubranie”. Jakże świetnie  
tę smętną mądrość pojęli Polacy!  
Ci, co z takim uporem zapisują wła-  
snym życiem „Księgi Pielgrzym-  
stwa” narodu. Rzadko się zresztą  
skarżą, są twardzi; dzielniejsza Polo-  
nia w świecie nie ma w sobie nic  
z mazowieckiego smętku — to jest  
męska polskość. Czasem tylko komuś  
się wyrwie, jak temu staremu  
człowiekowi, który powiedział do  
mnie w Bolwiti: „Żyć to tu jeszcze  
można, gorzej umierać”.

Jak wiadomo, nie tylko Polacy o-  
puszczają swój kraj i nie tylko oni  
zaczynają od początku walkę o miej-  
sce na ziemi, o prawo do legitymo-  
wania się nie „ubraniami”, lecz „na-  
zwiskiem”. Na wszystkich konty-  
nentach spotyka się Włochów, Por-  
tugalczyków, Żydów, Hindusów, Sy-  
ryjczyków, Chińczyków. Ale tak  
zwany wicher historii ze szczegó-  
lnym upodobaniem chwytal i gnał po  
świecie Polaków. Wśród polskiej e-  
migracji z wielkim trudem można  
dopatrzyć się dobrowolnych wygnań-  
ców. Polacy opuszczali ojczyznę  
prawie zawsze z konieczności — u-  
chodzili z kraju po każdej kolejnej  
katastrofie dziejowej, zbiegali po  
powstaniach narodowych, lub decy-  
dowali się na tułaczkę „za chle-  
bem”.

Z problemami wielomilionowej e-

migracji polskiej w Ameryce Pół-  
nocnej spotkałem się na kartach  
książek i w czasie trzykrotnych wi-  
zyt w USA w latach 1960, 1961 i  
1964. Mieszkalem kilka tygodni w  
polskiej dzielnicy Chicago, przyglą-  
dałem się życiu Polaków w Nowym  
Jorku, Detroit, Rochester i innych  
miastach. Ale największym zasko-  
czeniem, najcenniejszym źródłem  
do zrozumienia spraw rodaków, sta-  
ła się podróż do Teksasu. Z praw-  
dziwym osłupieniem, ale i ze wzru-  
szeniem, stanąłem pewnego dnia  
przed drogowskazem, na któ-  
rym widniał napis „Czestochowa”.  
Czestochowa w sercu amerykań-  
skiego „Dzikiego Zachodu”? Potem  
z ogromnym zainteresowaniem stu-  
dowałem stuletnie dzieje polskich  
osad w Teksasie. Panny Marii, Ko-  
ściuszki, Jadwigi, Czestochowy,  
dzieje zainaugurowane wyładowa-  
niem na brzegu Zatoki Meksykań-  
skiej grupy Ślązaków pod wodzą oj-  
ca Leopolda Moczygemby. Pasjonu-  
jące okazały się także aktualne in-  
formacje oraz nauce, a raczej  
„nauszne” stwierdzenia, że w tych  
dalekich, izolowanych od polskości  
osrodkach mówi się i dziś w czwar-  
tym, a nawet w piątym pokoleniu  
po polsku.

To wtedy, w Teksasie, polknąłem  
pierwszy „bakcyl polonijny” — od-  
tąd namierzałem szukam wszelkich  
kontaktów z Polakami w świecie.  
Głównie z przedstawicielami ostat-  
niej fali emigracji, przeważnie —  
tak się to dziwnie składa — z lu-  
дьми, żyjącymi na bocznych szla-  
kach światowych.

Są „kolorowi”. Mało wśród nich  
przeciętnych zrywaczy kartek z ka-  
lendarza. Być może zresztą, profe-  
sjonalne oko reportera takich ludzi  
tropi najeźdźcą. Ale chyba wolno  
stwierdzić, że jeżeli ostatnia fala  
naszej emigracji nie jest bardzo li-  
czna, to za to jest zaskakująco prze-  
na. W rezultacie drugiej wojny  
światowej znalazły się poza grani-  
cami kraju tysiące ludzi bądź po-  
chodzenia inteligenckiego, bądź ro-  
botników i chłopów, którzy z cza-  
sem — na ogół w wyniku upartej  
pracy i nauki — awansowali do ran-  
gi wysoko cenionych fachowców.  
To za sprawą tej ostatniej fali do-  
konała się w opinii świata jakościowa  
zmiana emigracji polskiej —  
biedny farmer czy poszukiwacz przy-  
gód, cwaniak czy wyrobnik, nie są  
już jedynymi reprezentantami pol-  
skości w świecie. Są profesorowie  
i doradcy specjalistyczni wielu rzą-  
dów, są lekarze i piloci linii lotni-  
czych, są słynni artyści i architek-  
ci. To już chyba ostatnie dziesięcio-  
lecie, kiedy jeszcze udaje się spot-  
kać tu i ówdzie jakiegoś Lipskiego.  
Nie wszystkim się powiodło, nie-  
którzy jeli się dziwnych zajęć,

niektórzy osiedli w osobliwych  
miejscach globu. Do końca życia nie  
zapomnę spotkania z wielkim pol-  
skim myśliwym w Kongo Brazza-  
ville, Stanisławem Hemplem; przez  
całe lata przemierzał ten człowiek  
rzeki i dżungle głębokiej Afryki, do-  
konując każdej nocy brawurowych  
szarż kawalerskich na groźne kro-  
kodyle. Mam ciągle w oczach kre-  
mową, wiecznie przepoconą sutannę  
księdza Ludwika Wojciecha z Ama-  
zonii i „Jego” Indian, którymi się  
opiekuje, których uczy alfabetu, a  
także — co może już budzić pewne  
wątpliwości — noszenia koszuli.  
Wspominam wielką mądrość, jaką  
przekazał mi o Indiach inżynier  
Maurycy Frydman z Bombaju, Po-  
lak związany od 30 lat z ojczyzną  
Gandiego, pozornie całkowicie  
„zhinduizowany”, ciągle zwią-  
zany sercem z Polską. Myślę  
nierz o pisarzu Andrzeju Bob-  
kowskim z Gwatemali, wielkim  
przyjacielu Majów, o żeglarzu i pi-  
sarzu Wacławie Wagnerze, który w  
San Juan (Puerto Rico) prowadzi  
własną stocznice. Często wracam do  
wspomnień rozmowy z inżynierem  
— geologiem w La Paz, Piotrem Zu-  
brzyckim i jego przegód na niebo-  
tycznych wysokościach Andów.

Istnieje wzajemne ogromne zain-  
teresowanie — Polacy w świecie ta-  
kną wiadomości o ojczyźnie, Polacy  
w kraju chłoną każdą informację o  
losach rodaków na dalekich ładach.  
Dlatego reporter, zajmujący się sta-  
le polonijnym tematem, ma wyjąt-  
kowe szczęście łączenie osobistej  
pasji z prawdziwym „zamówieniem  
społecznym”.

Jest jeden niezbędny warunek  
skutecznego obserwowania życia  
Polaków w jakichś Amerykach i A-  
frykach: nie wolno się niczemu dzi-  
wić. Kiedy się bierze do ręki sen-  
sacyjną powieść, ma się przecież u-  
zasadnione prawo spodziewać na  
każdej następnej stronie rzeczy  
zadumiewających, jeżdżących włos,  
nieprzewidywanych. Jeżeli to praw-  
da, że w drugiej połowie XX wieku  
rozwinęły się gdzieś wielkie roman-  
tyzmy, przygody przez duże „P”, że  
na niebie przelatują odrzutowce i  
spuźniki, a na Ziemi panuje proza,  
to wszystko to nie dotyczy Polaków  
w Wenezueli, Kongo, Nepalu, Au-  
stralii! Nie dotyczy takiego Włady-  
sława Włudyki z Gwatemali, który  
doszedł do pieniędzy śpiąc... pięć  
godzin na tydzień, a sennie roz-  
pędzał wylewaniem sobie lodowatej  
wody za koltierz. Nie dotyczy też  
Józefa Lipskiego z Paragwaju, któ-  
ry na pytanie, dlaczego właściwie  
nie nauczył się hiszpańskiego, szcze-  
rze odpowiedział: „Ech, panie, z kro-  
wą to ja się tutaj i po polsku roz-  
mawiam!”.



Fot. A. HADALA

WESOŁYCH ŚWIĄT

ŻYCZY  
WSPÓŁPRACOWNIKOM  
I CZYTELNIKOM

zespół „Widnokrąg”

EDWARD ZOŁOWSKI

## W ŚWIERKOWYM ZAPACHU

szklane muchomory kołędami błyszczą  
z szyszek kapie zieleń w firanki u okien  
karuzela lodów bawi krasnoludki  
— wszystko ulatuje w anioły wysokie

kromki chleba w dłoniach — recytacja wspomnień  
— i na jutro jeszcze tych słów pozostanie  
„bądź mądry i dobry” nad ustami słychać  
— śniegich lalek z papieru w woskowej oprawie

na lśniących planetach krążą twarze tłuste  
krople toną w oczach z tęsknoty ocalone  
„bądź dzielna dziewczyno” — moja krucha szyszko  
— mefisty już skaczą w przestrzeni zielonej

w kolorowych broszach ołtarz drzewka płonie  
— szyby pełne glazów — geometrii cieni  
w świerkowym zapachu ściany utonęły  
wrosnięte głęboko do szerokiej ziemi



Fot. JANUSZ WITOWICZ



CECYLIA BŁOŃSKA

## Z PARYSKIEJ „WIEŻY BABEL”

Wielejęzyczny przewodnik głosi, że „siedziba UNESCO stanowi najbardziej międzynarodową budowlę Paryża”, co wynika z funkcji, jaką spełnia, mieszcząc Organizację Narodów Zjednoczonych ds. Spraw Wychowania, Nauki i Kultury.

I szczególnie chyba uwidacznia się to w takich dniach jak dzisiejszy, gdy właśnie rozpoczęły się plenarne obrady UNESCO i z całego świata przybyli delegaci.

Różne samochody, od niemożnych, o surowych graniastych linach, do nowoczesnych, opływowych płaskich maszyn, wielokrotnym, gęstym pierścieniem otoczyły siedzibę Organizacji, przylegając niemal do ogrodów i esplanad obiektu, obejmującego łącznie 3 ha w centrum Paryża.

mają już wstępu na salę. Przewodnicy natomiast ustawiają ich wzdłuż zainstalowanych w drzwiach bocznych wielkich szyb, przez które do woli mogą przypatrywać się obradom. Nie do rzadkości też należy, że ten i ów delegat, nie nazbyt jeszcze obeznany z topografią wielkiej sali, próbuje torować sobie drogę przez grupę turystów. Poinformowany przez przewodnika, póstróż różnorodnych przepraszek, kieruje się w stronę właściwego wejścia.

Plenarne posiedzenie, któremu przewodniczy delegat ZSRR, profesor N. M. Sissakian, a wśród wiceprzewodniczących konferencji jest przedstawiciel Polski Stefan Wierbłowski, przez szereg dni debatować będzie nad istotnymi dla spraw kultury całego świata zagadnieniami. Będzie dyskutowany m. in. projekt, zalecający międzynarodową normalizację przy opracowywaniu statystyk

dzie równocześnie zajęte. Jest już na stanowiskach obsługa 5 studiów radia i telewizji. Pełne ręce roboty ma zespół redagujący „Dziennik Generalnej Konferencji”, który ukazuje się w języku francuskim, rosyjskim, angielskim, hiszpańskim. W miarę, jak posuwają się dni sesji, coraz więcej materiałów otrzymywać będą delegaci, nierzadko... pozostawiając je w salach obrad, dorywczo zaabsorbowani innymi codziennymi sprawami.

Jest na miejscu bufet, restauracja, kawiarnia, można wystąpić do domu list lub widokówkę ze stemplem UNESCO. Trzeba wymienić swoje uwagi nie tylko na oficjalnych posiedzeniach, na cerklach komisji, ale i na bieżąco, podczas posiłku w bufecie. I ja, siedząc tam przez pół godziny przy pół czarnej, przy stoliku, który przez przypadek dzieli z delegatem Senegalu, słyszę głośnie, swobodnie rozmowy na tematy poważne czy wręcz trudne. Jest atmosfera sprzyjająca takiej właśnie, oby jak najbardziej przyjacielskiej, wymianie doświadczeń.

Starania o turystów rozwijają nie tylko, nagradzani niewysoką opłatą, przewodnicy. Również i statowy aparat Organizacji, w dniu tym przebiegać kalkowicie oddany do dyspozycji urzędowych delegacji, z wielką ochotą pomaga turystom, a nawet im, w razie potrzeby, towarzyszy. Tzw. mowa na mię i tu znajduje niekiedy zastosowanie; główna zaś informatorka z biura przy wejściu z zaskakującą bystrością orientuje się, kto np. jest z Polski i niezwłocznie przechodzi na język ojczysty przybysza. Zresztą poznać nas można i po tym — jak i wycieczki z innych krajów — że nawet najbardziej śpiąc się, nie omyślamy przystanąć, co i ja oczywiście uczyniłam, przed wtrąceniem z polskimi wydawnictwami, przed gablotą z naleciami w polskim stroju ludowym...

Od kwietnia 1965 roku, gdy zaczęto wykopywać, przysięży budynek UNESCO stał się, siłą faktu, jedną z współczesnych budowli, najbardziej stosunkowo znaną na świecie. Siedziba Organizacji, której budowa zakończona została w listopadzie 1968 roku, miała być już w trakcie swego powstawania — jak podkreśla przewodnik — budowlą międzynarodową. Zaprojektowana przez architektów Ameryki, Włoch i Francji — przy czym projekt zatwierdzony został przez międzynarodowy komitet, w skład którego wchodził również słynny francuski architekt Corbusier — miała unaoczniać wspólną, pokojową współpracę narodów. Miało to również wyrażać w cennych materiałach, dostarczonych z całego świata: bazaltach, marmurach, a także granitach z Bretanii, kwarcytach z Norwegii, a nawet setkach kilogramów polskiej miedzi, która, pofabrykowana na kształt akordeonu, pokryła dach głównego budynku.

W ślad za rzadkimi „budulecami”, nastąpiły ze strony narodów inne dary: pomieszczenia komisji wyposażyły na m. in. Dania, Francja, Włochy, Szwajcaria; Czechosłowacja ofiarowała dekoracje dla jednej z sal, Szwecja zainstalowała się o odpowiedni



Rzeźba Henry Moore'a „Sylwetka w odpoczynku” zdobi plac przed wejściem.

wystrój biblioteki, Belgia zapewniła dekoracje dla biur dyrektora generalnego itp.

A o czym myślał, czy też co chciał powiedzieć Picasso (takie bowiem powszechnie słyszy się pytanie) opierając wielki, długi prawie na 11 metrów, a szeroki na ponad 9 metrów obraz na drzewie, na to dość trudno odpowiedzieć nie tylko laikom, aczkolwiek i oni odchodzą sprzed tego malowidła w wyrażnie pogodnym nastroju. Można przypuszczać, że i inni sławni artyści, którzy dzielami swymi przyozdobili wnętrza i zewnętrzne mury, mieli jedną podstawową intencję — by sztuka ich służyła dobrej sprawie. Taki na pewno jest sens wielkiego pogażonego w czerwonym świetle fresku Rufina Tamayo, przedstawiającego Prometeusza, przynoszącego ludzkości ogień, taki zapewne cel przyświecał Afro Basadelli, w jego malowidło „Ogród nadziei”, czy też Karlowi Appel, gdy ozdobił pariską siedzibę Organizacji swym obrazem „Spotkanie na wiosnę”. Gdy turyści oddają się zwiedzaniu, kontemplowaniu dzieł sztuki, konferencja debatuje, radzi, dyskutuje i każda godzina obrad znajduje swoje odbicie w zwizualizacji, ale szczególnie w dzienniku „Dziennik”. W popołudniowych godzinach w kinie UNESCO odbywają się projekcje filmowe. Jedną z takich programów, zrealizowanych pod egidą UNESCO, ukazuje problem różnic w poziomie życia krajów uprzemysłowionych i tych, które są dopiero w trakcie rozwoju.

Z ANEM delegat zgromadza się w kinowej sali, wielu z zainteresowaniem, nie mniejszym niż turyści, ogląda ekspozycję wykopalisk

z Paryża, Nubii, która i nam znana jest z obszernych fragmentów jubileuszowej wystawy Muzeum Narodowego w Warszawie (a częściowo z wystawy w Muzeum rzeszowskim). Wzrok zwiedzających przyciąga monumentalny nieomal, rozpięty nad tą ekspozycją napis, który podkreśla wspólne starania narodów, by te bezcenne zabytki kultury ocalać od zagłady.

Ten i ów, rozważając na gorąco dzień, bądź co bądź niezwykle, opuszcza siedzibę UNESCO, by nieodmiennie zatrzymać się jeszcze przy „mobiliu” — ruchomej figurze słynnego Caldera. Jesienią wicher wprawia w ruch rzeźbione z delikatnego żelaza fragmenty kompozycji. Nie przynajmniej głośno od tego, że ta kompozycja przypomina mi, w bardzo miły sposób, nasze zwyczajne, dziecięce wiatraczki.

Mój przewodnik tymczasem z miejsca zabiera się do odszukania wozu oczekującego ode mnie jakiegoś udziału w tej akcji. W pewnym momencie, gdy wartkim krokiem przebiegłszy już cztery ulice zapchane rozmaitymi autami, zadowolona, że będnę w końcu miała „sprawę z głową”, wykrzykuje w oświeceniu: — Ależ to tu, tutaj stawał samochód ten stary profesor z siwą brodą!

Znany, który wiedziony instynktem prawdziwego automobilisty, zdołał w międzyczasie na odległość 200 metrów wypatrzyć swój wóz wśród pięciu, według mnie zupełnie takich samych, odpowiada mi tonem, w którym rozważenie bierze jednak górę nad irytacją:

— Dziękuję, tutaj to rzeczywiście jest niezmiernie cenna i ścisła wskazówka.

## Polskie fraszki po rosyjsku

Dużym powodzeniem cieszy się wydany w Moskwie po raz pierwszy w języku rosyjskim zbiór fraszek polskich. Książka zawiera utwory pisarzy polskich od wieku XV aż do naszych czasów.

Stara fraszka polską reprezentują utwory Biernata z Lublina, Mikołaja

Reja i Jana Kochanowskiego. Najwięcej miejsca zajmuje w zbiorze współczesna fraszka polska, którą reprezentuje przeszło czterdziestu poetów. Wstęp do wydania rosyjskiego napisał znany satyryk radziecki Sergiusz Michalkow.

ADAM WŁODEK

## MOTORÓWKA

BARDZO daleko poza granice bezwstydu sięga moje ciemniactwo matematyczne. Co tu dużo gadać: jeśli chcę pomnożyć np. 327 przez 17 — jestem zmuszony wypisać owe 327 siedemnaście razy i dopiero na tej pokątniej kolumnie liczb przeprowadzić działania zwane dodawaniem. Sprawy związane z ułamkami, równaniami itd., mają dla mnie posmak upiornej baśniowości.

Przez cztery lata gimnazjum kształtowała moją wyobraźnię matematyczną pani profesor Pużańska. Nie jej wina, że obryzanie zasoby energii pedagogicznej szły w moim przypadku na marne. Sprawiedliwa, ale zarazem nader surowa — potrafiła sobie zaskarbić jedynie mój paniczny strach. Szczupła, niewielkiego wzrostu — niższa od każdego z powierzonych jej pieczy kilkunastolatków — była dla mnie zawsze olbrzymką, wymagającą rzeczy niemożliwych. Jeszcze po wojnie, w jakże długi czas dzielący mnie od lat gimnazjalnych — pojawiała się nierzadko w moich śnach z żądaniem: powtórek, poprawek itp.

Stosunkowo niedawno, w moim skromnym mieszkaniu zaterkotał dzwonek z drzwi. Otwieram. I w

jasne południe, z najbardziej realnej jawy, wkraczam w mgiełkę oka w krainę snu. Stoi przede mną pani profesor Pużańska — taka sama, idealnie taka sama jak w czasach gimnazjalnych. Nie wiem już, jak znalazła się na krześle przymocowanym do biurka — ale jedno wiem na pewno: nie moje było już to biurko, nie było już w ogóle biurkiem. Była tylko „katedra” z siedzącą przy niej surową panią profesorem, a ja stałem przejęty jedną jedyną myślą: jakie też pytanie padnie za chwilę.

— Jakże się cieszę, że mam sposobność rozmawiać z moim dawnym uczniem. Jestem dalej w tym samym gimnazjum. Poza tym, z ramienia grona nauczycielskiego zajmuję się organizowaniem imprez kulturalnych. W ramach Dni Oświaty zaprojektowaliśmy pańskie wystąpienie autorskie. Jako wychowanek tej szkoły nie odmówi pan chyba... Jakże miło mi będzie gościć po latach jednego z moich najlepszych uczniów...

Spojrzałem w jej przyjaźnie uśmiechnięte oczy. Mówiła serio Wierzyła w to, co mówiła. Zawstydzony — spuściłem wzrok. Zrozpaczona — beznadziejnie zaczęłam łuszczyć czubki własnych butów. I może przez to przypomniały

mi się jej słowa sprzed lat kilkunastu. Obryłem wtedy szczególnie haniebnie. Na dobitkę rozbraiałem w zakresie tzw. sprawowania się. Wtedy pani profesor Pużańska, wskazując moje aowe buty, powiedziała:

— Ty nie zasługujesz na to, żeby ojciec wydawał na ciebie ciężko zapracowane pieniądze.

Na pewno mówiła to szczerze. Podobnie jak teraz.

— Liczymy więc, że nie zawiedzie nas naszych planów...

— Tak jest, proszę pani — odpowiedziałem posłusznie, kłaniając się przy tym na sposób uczniowski, z zamasytym szurnięciem nogami. Nie miałem najmniejszej ochoty na ten poranek autorski, ale nie było wyjścia: nigdy przecież nie odważyłbym się na jawny sprzeciw wobec pani profesor Pużańskiej.

Potem wysłuchałem jeszcze informacji co do dnia i godziny imprezy. Na koniec zjawia znikła.

Ale skoro zostałem już sam, w normalnym, dorosłym świecie — postanowiłem, że w ostatniej chwili wymagam się jakimś nagłym wyjazdem czy chorobą. Pani profesor była jednak chytrzejsza. Na drugi dzień nadszła mi delegacja uczniów. No, tych — to już nie chciałem bujać.

Poszedłem. Dałem się nawet opanować swego rodzaju wzruszeniu: była jednak jakaś podejrzana satysfakcja w tym, że ex cathedra występuje się tu, gdzie się nierzadko potulnie innych ex cathedra mówiących znosiło. Puściłem mimo uszu stek pochwał, jaki jeszcze wysypała pani profesor Pużańska zagajając imprezę —

i z leżką w oku, mężnie skądinąd maskowaną, zacząłem odczytywać utwory.

Impreza, jak impreza. Padło nawet trochę pytań ze strony uczniów. Było wszystko normalnie. A na zakończenie dziękował mi dyrektor Gawlak.

Osoba jego wywołała już we mnie lekkie wstrząs, skoro tylko wszedłem do auli, w której odbywała się impreza. I on, podobnie jak profesor Pużańska, reprezentował jeszcze w tej szkole starą, przedwojenną gwardię z tzw. ciała pedagogicznego. I on mnie sobie wspaniale przypominał. Jak widać, nemezis dziejowa nielecho też inwazyj wspomnień zorganizowała.

— Chłopczyki! — zaczął gromko. (Zgadza się: zawsze używał formy: „chłopczyki”). — Chłopczyki! Nie lada wydarzeniem była dla nas dzisiejsza impreza...

I znów, jak pani profesor Pużańska, napomknął o chlubie szkoły, o jednym z najwybitniejszych wychowanków.

— Już wtedy, przed laty, wszyscy bez wyjątku byliśmy przekonani...

Rozpędził się na dobre. Mówił dość długo. Gdy skończył — ścisaliśmy sobie przez chwilę dłonie w przytomności kilkuset „chłopczyków”. Potem, po rozwiązaniu zebrania, otoczony grupą najaktywniejszych wychowanków odprowadził mnie dyrektor aż do bramy. Również przez drogę nie skąpił komplementów. Ja znów, wersalskimi półśłówkami manifestowałem swą skromność.

Jednakże dyrektor nie poprzestawał na ogólnikach.

— A pamięta pan, jak skonstrował pan tę motorówkę? Jak to z całej szkoły zbiegli się wszyscy, żeby ją podziwiać...

Coś koło tego było. To znaczy — dyrektor pełnił równocześnie funkcje nauczyciela zajęć praktycznych i widocznie ktoś kiedyś jakas wspaniałą motorówkę skonstruował. Oczywiście — w tej chwili poszło to na moje konto. A ja? Owszem, też nad motorówką ślecząłem. W ciągu całego roku. Pod koniec udało mi się nawet wyciąć z arkusza blachy zarys kadłuba. Ale to wszystko. Zostałem już na zawsze z ponacinanym kawałkiem blachy i z postawioną z łaski dostateczną notą z zajęć. Dyrektor Gawlak jako nauczyciel nie był tak surowy jak pani profesor Pużańska.

— Pamięta pan, prawda? — indagował teraz serdecznie.

Nie wytrzymałem dłużej. Nie zdobyłem się już na żadne wersalskie półśłówko. W poczuciu obowiązku, że trzeba przecież podtrzymać wiarę dyrektora w nieomyślność jego wspomnień, rąbnąłem nie bez zrozumiałości:

— Tak, pamiętam doskonale, panie dyrektore. Pamiętam, jaki byłem dumny, że udało mi się ośmielić całą szkołę. Nawet pan, tak surowy i wymagający pedagog, nie mógł nic mojej motorówce zarzucić.

I ściskając mu dłoń już przez próg bramy, uzupełniłem:

— Oczywiście, dziś zrobiłbym ją na pewno lepiej. No, ale nawałną, więc, ten nawałną zajęć, dyrektore...



**Pisarze odpowiadają na pytania „Widnokregu”**

Dobiegający końca rok stwarza okazję do podejmowania prób różnego rodzaju bilansów, podsumowań. Za taką wycinkową i niepełną próbę uznać można poniższą ankietę. Zwróćmy się do kilku dobrze znanych naszym czytelnikom pisarzy z prośbą o odpowiedź na cztery pytania.

**Pytanie pierwsze:** Co przyniósł pani(u) miniony rok w twórczości a także życiu osobistym?

**Pytanie drugie:** Jakie książki lub też jaka książka wydana w obecnym roku wywarła na Panu szczególne wrażenie?

**Pytanie trzecie:** Co może Pan powiedzieć o swoich ostatnich kontaktach (czytelniczych, osobistych i innych) z Rzeszowszczyzną?

3) W tym roku byłem tylko raz w Rzeszowskim, w Wielosiu. Pojechałem tam, by obejrzeć dom Pięta, stary, blisko stuletni. Bardzo wstrząsnął mną ten widok: dom, progi wyłożone przez całe pokolenia. Poza tym dom przyjaciela i bardzo bliskiego poety. Tam w Wielosiu spotkałem się z wieloma ludźmi, którzy znali Pięta, byłem również w szkole, która już kończy swą służbę i powinna zostać zastąpiona przez nowy budynek. To było jedyne w tym roku spotkanie z Rzeszowszczyzną, którą bardzo lubię. Muszę powiedzieć, że w czasie tegorocznych podróży porównywałam inne regiony z Rzeszowskiem. Te porównania wypadły dobrze dla rodzinnej ziemi Pięta, budzącej szacunek także swym dynamicznym rozwojem.

Moje zainteresowania dotyczą

naszych polskich autorów, które mi się bardzo podobały: jest to duże opowiadanie Kazimierza Brandysa „Bardzo starzy oboje” (drukowane notabene w „Twórczości”) i tu bym jeszcze wymienił „Zapis” nową książkę Marka Nowakowskiego, arcydzieło. Chciałbym tu wspomnieć bardzo utalentowanego, młodego poetę śląskiego, Tadeusza Kijonkę, który mi z pamięci wyrecytował swój poemat, poświęcony zmarłemu bratu pt. „Rzeźba w czarnym drzewie”. To jest poezja rzadkiej piękności, przejmująca, wzruszająca, zupełnie zrozumiała, a przy tym najwyższej próby formalnej. Na koniec muszę dodać koniecznie „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego, to jest dla mnie pozycja ekstra, specjalna, jedna z najwybitniejszych powieści powojennych.

## Co przyniósł mi kończący się rok?

**Pytanie czwarte:** Nad czym Pan obecnie pracuje? Jak wyglądają Pańskie najbliższe plany, zamierzenia?

A oto odpowiedzi:

**JULIAN PRZYBOS:** 1) Rok bieżący przyniósł mi nagrodę państwową I stopnia. W tym roku, wbrew przewidywaniom nie ukazał się tom moich wierszy, ale ukazał się w pierwszym kwartale przyszłego roku, będzie nosił tytuł „Na znak” i składać się będzie z dwóch części, z wierszy lirycznych i esejów o poezji. Będzie to kontynuacja mojej działalności poetyckiej, a złoży się na nią kilka polemik, pamfletów i „List do brata na wieś”, rodzaj manifestu poetyckiego.

2) Nie jestem zbyt pilnym czytelnikiem współczesnej beletrystyki. Interesuje mnie raczej filozofia i eszystyka naukowa. W tej dziedzinie zapamiętałem z polskiej produkcji niewiele. Interesowały mnie szkice Kołakowskiego, Schaffa, Kortbińskiego, a z eszystyki literackiej zwróciły moją uwagę szczególnie książki Sandaiera, Kubackiego, Wyki.

3) Odnosiłem również w tym roku moje strony rodzinne. Chciałbym przy okazji podkreślić zasługi w szerzeniu znajomości literatury Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i jej dyrektora, Stanisława Pizliaka. Wiadomo, że bibliotekarstwo rzeszowskie stoi wysoko i ta część Polski, przed wojną najbardziej zaniedbana, dzięki działalności placówek oświatowych i kulturalnych, dzięki pracy takich ludzi jak dyr. Pizliak idzie stale naprzód. Dzięki temu zainteresowania i poziom umysłowy czytelników podniósł się tak znacznie, że rozmowa w czasie spotkań daje prawdziwą satysfakcję.

4) Jak już wspominałem na wstępie, w najbliższych miesiącach ukazał się nowy tom moich wierszy. W przyszłym roku wydam też IV wydanie mojej książki „Czytając Mickiewicza”, poszerzone o dwa nowe rozdziały.

**JERZY PUTRAMENT:** 1) Rok był niezły, zwłaszcza miałem dużo szczepaków i boloni. Także jedną powieść „Odyńiec” oraz jeden zbiorek felietonów („Kąciak laika”).

2) Najsilniejsze wrażenie zrobił na mnie „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego, chociaż jest to książka bardzo ponura i przesadna w swojej wymowie.

3) Od marca na Rzeszowszczyźnie nie byłem, ale bardzo chętnie pojechałbym znów, jeżeli tylko czas pozwoli. Wydaje mi się ta ziemia bardzo dynamiczna w rozwoju i zarazem bardzo sympatyczna.

**ANNA KAMIENSKA:** 1) Rok ten był wypełniony pracą i chociaż nie przyniósł żadnych specjalnych wydarzeń, w pewnym sensie ustabilizował moje życie i jako człowieka, i jako pisarza. Wydałam duży tom esejów, dotyczący literatury ludowej i nurtu ludowego we współczesnej poezji pt. „Pragnąca literatura”. Ta książka zamknęła niemal dwudziestoletnią pracę w tej dziedzinie. Poza tym w tym roku przesunęłam się ku prozie (co nie oznacza rezygnacji z poezji). Zakończyłam tom opowiadań fantastycznych dla młodzieży pt. „W Nieparzyżu” i gdzieś indziej; książka ta ukazała się w przyszłym roku w Naszej Księgarni.

W tym roku wydałam również tom wierszy, miniatur poetyckich pt. „Rzeczy nietrwałe”. Jeszcze jedna rzecz się ukazała: płyta z moimi wierszami (wiersze czytane przeze mnie).

2) Jedną z książek, która najbardziej mnie poruszyła, to są „Zaklęcia” Pięta, tom wierszy, który ukazał się tuż przed śmiercią pisarza — to są znakomite wiersze. Z innych rzeczy bardzo podobni mi się „Sennik współczesny” Konwickiego.

również ludowego piarstwa, które bujnie rozwijało się na tym terenie. Właśnie w tej mojej książce pt. „Pragnąca literatura” kreślę sylwetki ludowych pisarzy Rzeszowszczyzny.

4) Niedawno ukończyłam duży wybór ludowej poezji serbsko-chorwackiej w cyklu moich prac nad ludową poezją narodów słowiańskich. Ten tom nosi będzie tytuł „Perły i kamienie” i ukaze się w PIW-ie. Poza tym piszę powieść dla młodzieży, przygotowuję nowy tom wierszy i pracuję nad antologią współczesnej poezji bułgarskiej wspólnie z Anatolem Sternem, nie licząc wielu pomniejszych prac, artykułów, felietonów, które stale drukuję w „Kamieniu”. Z tych felietonów chciałabym również zrobić książkę, popularyzującą sprawę współczesnej poezji.

**MIECZYSLAW JASTRUN:** 1) Wydałam nowy zbiór wierszy pt. „Strefa owoców” oraz dwa tomy przekładów: „Wybór poezji” R. M. Rilkego i „Wybór poezji” Heortericka.

2) Nie czytałam prawie bieżącej produkcji, pisarze mało czytają, to znana rzecz. Zapamiętałam tom wierszy Różewicza „Twarz” oraz tom esejów Herberta „Barbarzyńca w oprodzie”.

3) Bardzo dawno, bodaj dwa lata temu byłem w Rzeszowskim. Z tą krainą jestem blisko związany latami młodości (z Jodłową, z Krosnem), mam tam rodzinę. Z wiosną chętnie wybiorę się w tamte strony.

4) Złożyłem w wydawnictwie „Czytelnik” tom esejów pt. „Poezja i rzeczywistość”. O innych zamierzeniach nie będę mówił, gdyż ile razy mówiłem, nigdy ich nie spełniałem.

**WILHELM MACH:** 1) Rok ten przyniósł mi wydanie ostatniej książki „Agnieszka, córka Kolumba” i w pewnej mierze film, którego jestem tylko w drobnej części współautorem. Przyniósł również nagrodę państwową za wyżej wymienioną powieść — dowiedziałem się o niej (nagrodzie) grubo po terminie, w malutkim, ślicznym, bułgarskim miasteczku Sozopol.

2) Z obcych książek, które w tym roku czytałam i to właśnie na plażach czarnomorskich — wymienię najciekawsze dla mnie: Charpentier „Podróż do źródła czasu” w czytelnikowskiej serii „Nike”, znakomita powieść, Malcolm Lowry „Pod wulkanem” i naszego Zenona Kosidowskiego „Opowieści biblijne”.

Pochwalę się też lekturą pewnych tekstów jeszcze nie wydanych

3) Moje kontakty z Rzeszowszczyzną są ciągłe, nieprzerwane, jeśli idzie o tryb korespondencyjny, o spotkaniu z ludźmi tej ziemi. W tym roku byłem dwukrotnie w Rzeszowskim, w maju przez tydzień, odbywałem potężne tournée spotkań z czytelnikami na zaproszenie Związków Zawodowych i Biblioteki Wojewódzkiej. Byłem wówczas w Mielcu, Kolbuszowej, Nowej Dębie, Nisku, Stalowej Woli, Brzozowie, Włodowie i oczywiście już w trybie prywatnym w moich okolicach rodzinnych, w Ropczycach. Jesienią, przy samym końcu października odwiedziłem moich drogiego zmarłych na tamtejszych cmentarzyskach, ale i przy tej okazji na wskroś osobistego wyjazdu, odwiedziłem również przyjaciół i znajomych, spotkałem się ze studentami WSP w Rzeszowie. Przy tej okazji pragnę podziękować serdecznie wyjątkowo miłym i uczynnym: dyrektorowi St. Pizliakowi i wicedyrektorowi, p. L. Tokarskiej z Biblioteki i pogratulować im, że doczekali się nowego wozu, co mnie cieszy tym więcej, że tej majowej podróży w dogorywającym wozie o mało nie przypłaciłbym ciężkim wypadkiem...

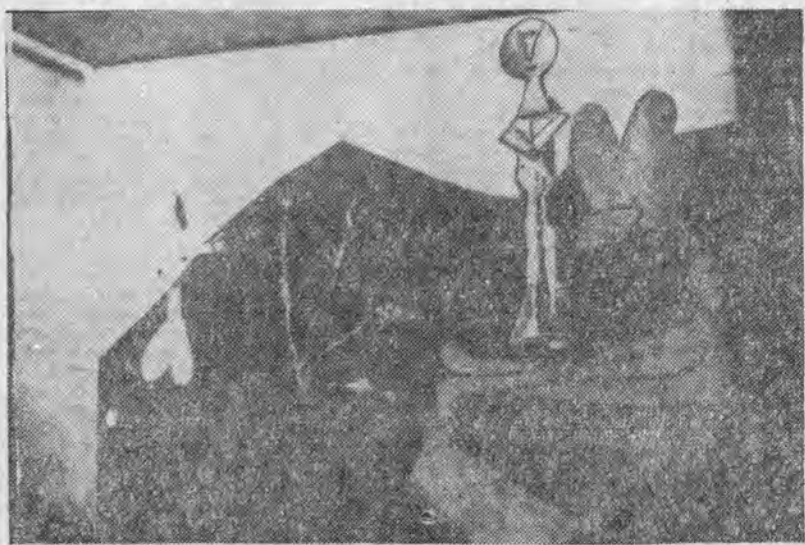
4) Zapisać nie chcę, więc zbyt dokładnie nie będę opowiadał o nowej książce, do której robię sobie już zapisy brulionowe, będzie to powieść współczesna, na pewno z motywami polskimi i bułgarskimi.

Chciałbym doczekać swobodnego, długiego czasu na pisanie, ponieważ normalne życie powszednie jest absolutnie wypełnione po brzegi pracami nawet ważnymi, nawet i ciekawymi, ale uniemożliwiającymi pisanie książki. Tak więc do czasu zajmuję się między innymi konsultacją literacką w jednym z zespołów filmowych, a także czytaniem nieprzebranej masy powieści konkursowych (konkurs Wydawnictwa Poznańskiego, można się spodziewać pewnej ilości ciekawych książek na podstawie tego, co już przeczytałem) i przeróżnych innych tekstów, które do mnie napływają i drogami urzędowymi, i prywatnymi (jestem męczennikiem czytania!).

Ostatnio bawiłem przez tydzień na Śląsku w dziewięcioosobowej grupie autorów, odbywałam tam czwarty już z kolei Tydzień Polskiej Literatury Współczesnej. Mogę Pana zapewnić, że i przy tej sposobności znalazłem czas i miejsce dla powiedzenia wielu serdecznych słów o Rzeszowskim.

Notował:

ZBIGNIEW WAWSZCZAK



„Ofiarując go UNESCO Pablo Picasso nie dał swemu obrazowi nazwy”

Na zdjęciu: BARBARA HESSE-BUKOWSKA

Fot. CAF GLADYSZ

## BARBARA HESSE — BUKOWSKA

Barbara Hesse-Bukowska nie lubi natrętnej inwigilacji. Mówi tylko wówczas, gdy sama odczuwa potrzebę głośnego wyrażania swych wspomnień i myśli:

— Jako mała dziewczynka marzyłam o tym, aby zostać tancerką. Uczylałam się też muzyki, ale nigdy nie przypuszczałam, że da to takie rezultaty, że pianistka stanie się moim powołaniem i zawodem. Muzyk musi posiadać żelazne zdrowie i nerwy, a nie mieć tremy. Wysiłek fizyczny jest mniej groźny do tremy. Ta może wykończyć. Ja mam swoje zakłęcia. Wychodząc na estradę powtarzam sobie: „Tylko spokój może mnie uratować”. I to pomaga! Może dlatego, że już sama muzyka mnie upaja, a powodzenie i brawa to wtórna historia. Nigdy nie żałowałam, że zostałam pianistką. Wszystko inne, wcześniej czy później potrafi zdradzić, ale muzyka nigdy.

— Proszę przypomnieć początki pani kariery pianistycznej.

— Jako pianistka mam 20 lat. Pierwszy raz wystąpiłam publicznie w 1945 roku w Łodzi. Orkiestra dyrygował wówczas Zdzisław Górzyński. Byłam jeszcze studentką. Dyplom zdobyłam dopiero w cztery lata później w Warszawie w klasie profesor Trombini Kazurowej. W eliminacjach Konkursu Chopinowskiego brałam również udział jako studentka.

— Czy Konkurs Chopinowski był pani największym przeżyciem?

— Oczywiście. Ale największe wysiłki i satysfakcje przyniósł mi udział i zwycięstwo w konkursie pianistycznym im. Marquetry Long i Jacques Thibaud w Paryżu w 1953 roku. Byłam jedyną

przedstawicielką Polski i to jeszcze z „pieczęcią” laureata Konkursu Chopinowskiego. To przecież zobowiązuje. Po prostu wypadało zwyciężyć.

— Co było w późniejszych latach?

— Wspomnienia mogłabym ciągnąć w nieskończoność. Przecież w czasie tych dwudziestu lat uzbierało się sporo. A więc kilka najważniejszych dla mnie dat i faktów. Rok 1961. Szwajcaria. Jeden tylko koncert w Lugano, ale także brzemienność w następstwie. Oprócz wspaniałych recenzji otrzymałam też wówczas tytuł jednej z dziesięciu najlepszych pianistek świata i medal im. Hariet Cohen przyznawany przez Internationale Musik Award za działalność artystyczną roku. Potem koncert dla Królowej Elżbiety Belgijskiej w jej letniej rezydencji pod Genewą.

Rok 1963, zaproszenie do jury konkursu pianistycznego w Leeds oraz wspaniałe tournée z zespołem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia z Katowic pod dyrekcją Jana Krenza. 44 koncerty, wiele dziesiątków tysięcy słuchaczy, ZSRR, Mongolia, Chiny, Hong-Kong, Japonia, Australia, Nowa Zelandia i powrót przez Egipt i Grecję. To było męczące i wspaniałe zarazem...

— Pani dalsze plany?

— Grudzień br. — ZSRR. Rok przysły — Norwegia, Francja, Rumunia, Czechosłowacja, ewentualnie — Anglia, NRD i NRF. W dalszych planach możliwy wyjazd do USA, Argentyny oraz występy w Japonii.

Tekst i zdjęcie: CAF

Rozmawiał: Cz. Chruściński

fot.: D. Gladysz



# MAMUTY NA ŚWIĘTA

Ludowe powiedzonko przypomina zawsze z dozą sceptycyzmu, że „święta, święta, już po świętach”. Nie ulega zresztą wątpliwości, że wszelkie nieszczęścia mają charakter cykliczny. Już jako dziecko padłem ofiarą oszustwa, kiedy chciałem zamienić czerwoną kartkę z kalendarza, która groziła mi wizytą u nienubianej ciotki na sobotnią klasówkę z rachunków. Handel został z przyjacielelem dokonany, ale nienubianego los poraził nas i wizytę, i klasówkę. Nieszczęścia więc, jak udowodniłem, uniknąć nie można. A jeśli nie można, należy się do niego przygotować stosownie do okoliczności; na dowód — mężczyźni biorą ślub zawsze w czarnych garniturach.

Jedną z zasadniczych cech dni świątecznych jest absolutny reżim obyczajowy. Przez wszystkie czarne dni kalendarza człowiek chodzi do pracy, pracuje albo rozmawia z kolegami, załatwia telefony, omawia problemy polityczne, słowem — postępuje, jak człowiek wolny, uznający konieczność dyscypliny. Elastyczny charakter człowieka uczynił z zakładu pracy instytucję pożyteczną na tyle, że do wszystkich wolności dokładając pewien zasób pieniędzy. Nie są to sumy olśniewające i nikt po wypłacie nie zaczął żyć życia milionera, ale w końcu nie można za wiele wymagać od państwa, które też ma swoje kłopoty finansowe. W święta popadamy w kłopoty znacznie poważniejsze, gdyż dopada nas reżim obyczajowy, który wywodzi się z prostej linii z pieczeni, w których zamieszkiwali nasi przodkowie.

Czymże jest święto? Potoczna definicja mówi o święcie jako o dniu wolnym od pracy, ale my wiemy, że to nie jest prawda. Powiedzmy raczej, że jest to dzień pełen fetyzów i to będzie już bliższe prawdy. Fetyz jest legną się zresztą na długo przed świętami i konia z rzędem temu, kto nie dostawał wysypki na myśl o czekających go świętach. Reguła świąt wymaga bowiem kupienia prezentów, przystrojenia choinki, wysłania kart pocztowych z miłymi słowami do ludzi, którzy przywiodą na myśl słowa mniej miłe, odprasowania garniturów i tym podobne, a przecież dotknęliśmy dopiero cząstki problemu. Kobiety czekają jeszcze generalnie porządku i nie wiadomo, czy to pochodzi od porządku czy od generała. Kobiety czekają jeszcze zakupy i przyrządzanie wiktuałów. Fetyz świąt narodził się bowiem w tych czasach, kiedy upolowanie mamuta nie było rzeczą trudną i kiedy trzeba go było szybko zjeść, aby się nie zepsuł. Tak wiele odziedziczyliśmy po epoce, która nie znała młówek, ale znała się, o ironio, epoką lodową. Musimy więc, chcąc nie chcąc, zasiadać do święta do atropy mamuta i zapychać żółtki rozmaitymi potrawami. Ażeby zaś było uroczystej, zapraszamy

gości, potomków tych nieszczęśliwych, którzy swojego mamuta nie upolowali. Nie widzę racjonalnego powodu, żeby karmić potomków ludzi leniwych, którym się nie chciało biegać za słoniem futerkowym. Tradycja podaje, że tych ludzi wytykano palcem i mówiono, że ich mamucie mięso kole w zęby. Ślad ich lenistwa znajdujemy jeszcze w syberyjskich tundrach, nawet dobrze zakonserwowany, a nasze mamuty zostały dawno zjedzone i żaden archeolog nie odnajdzie nawet kości. Sądę, że o tym trzeba powiedzieć gościom, skoro już do nas przyszli.

A więc wada świąt są goście i przymus uroczystych odwiedzin. Ludzie, których okrążył rok z powodzeniem unikaliśmy, w święta odczuwają głęboką ochotę spojrzenia na nasze oczy i uśmiechnięcia naszej ręki. Podawanie dłoni, jak wiadomo, było w dawnych czasach aktem asekuracji, czy aby gość nie ukrywał w garści krzemiennego noża, aby w stosownej chwili poderżnąć nam gardło. Drugą asekuracją zdrowotną stosujemy przy haśle „abyśmy”, pilnie bacząc, czy gość nie nasyłał nam do kielicha trucizny. Trzecią asekurację stosujemy w chwili, gdy gość ma ochotę na jeszcze jedną porcję indyka — mówimy wtedy żonie: — odnieś to fluście świętowo do kuchni i przynieś coś słodkiego. Bywają wypadki, że po indyku gość przekąsa jeszcze porcję tortu, ale my wiemy, że to zdrowe nie jest. Czwartą asekuracją już nie stosujemy, gdyż nie ma sposobu na nudziarza, który przystępuje do poobiedniej dyskusji. Odliczając cenę prądu, taniej jednak jest włączyć telewizor.

Gości dzielimy na rodzaje: znajomi i rodzina. O ile znajomych można sobie dobrać, rodziny dobrać nie będziemy. Już raz dobrałmy sobie rodzinę żony i fakt ten dosłownie tłumaczy nasze ujemne na ten temat opinie. Na rodzinę jesteśmy więc skazani, ale historia króla Popiela nie radzi, aby rodziny pozbywać się w sposób zbyt gwałtowny. Strój nie strój, ale w ministerstwie ma znajomych. O własnie, znajomi znajomych są istotami, z powodu odległości, dość miłymi i czasami pożytecznymi. Radzimy więc, skoro inaczej nie można, zapraszać tylko znajomych znajomych bez zbędnej jednak przesady. Kolega żony, który odwozi ją z biura własnym samochodem, nie jest dla męża kolegą do bycia i odwrotnie, gdyż kobiety też są podejrliwe. A szkoda, gdyż fetyz świąt nabrałby z pewnością interesujących rumieńców.

Dezyderaty zawarte w artykule radzę przemyśleć i przedyskutować. Problem nie został bowiem wyczerpany i z dwójką złego, lepiej jest zawsze być gościem niż gospodarzem. A że źle będą o nas mówili? My też mamy możliwość rewanżu.

WIESŁAW RUSTECKI



HENRYK GONDA — aktor Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.  
rys. JERZY SIENKIEWICZ

## WIDNOKRĄG odpowiada

Ob. T. „Oddajewski” — Rzeszów: Wszystko byłoby prawie dobrze, bo i list wystarczająco „urażony” w tonie i ilości, i parodia wiersza z „Widnokregu” zgrabna, gdyby nie błędy ortograficzne.

Ob. A. M. Tarnobrzeg: Nie skorzystał. Wiersz zbyt ogólnikowy i ab-

strakcyjny. Nie ma w nim ani wyrazistego obrazu poetyckiego, ani jasnej myśli przewodniej.

Ob. A. S. — Sierakość: — Poruszoną przez Pana sprawą postaramy się zająć w najbliższym czasie.

Ob. J. „Pi-ka” Rzeszów: Zgadza się z sądem Pani. Te utwory chyba nie posiadają wartości artystycznych.

Ob. J. K. Rzeszów: Nie możemy, niestety, publikować rozprawek naukowych, zwłaszcza w tych rozmiarach na łamach „Widnokregu”. Rekopis pracy oddamy Panu pocztą.

Ob. Ob. T. Ch. Machów, W. M. Debica, A. N. Jarosław, K. R.: Nie skorzystamy.

## Premiery filmów polskich w grudniu

W grudniu wchodzi na ekrany trzy polskie filmy fabularne. Szczególnie zainteresowanie wzbudza nowy, bardzo ciekawy — jak słychać — film Aleksandra Forda „Pierwszy dzień wolności”. Oparty na noszącym ten sam tytuł dramacie Leona Kruczkowskiego jest utworem na wskroś oryginalnym, filmowym. Na szerokim ekranie ujrzymy wielu znanych aktorów, m. in. Tadeusza Łomnickiego, Beatę Tyszkiewicz i Tadeusza Piłewskiego.

Z okazji „Barburki” odbędzie się premiera filmu „Pięciu” reż. Pawła

Komorowskiego. Osnuty na powieści Aleksandra Baumgardena „Brzeź ciemności”, ukazuje górników zasypanych w kopalni węgla. We wspomnieniach bohaterów ożywa kawał historii Śląska — od czasów powstań poprzez drugą wojnę światową, aż po dzień dzisiejszy.

Młodzi widzowie otrzymają ekranizację „Panienki z okienka” Deotymy, reż. Marii Kaniewskiej — kolorowy, dwuseryjny, kostiumowo-widowiskowy film, którego akcja rozgrywa się w XVI-wiecznym Gdańsku.

## Zdarzenia tygodnia

Tym razem Przemysł zdystansował wszystkie miasta naszego województwa (łącznie z Rzeszowem). Otóż staraniem władz tego miasta w ubiegłą sobotę, tj. 19 bm., otwarto pierwszy w naszym województwie Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Nowa placówka posiada 3 obszerne sale, gdzie znalazła m. in. pomieszczenie ze smakiem urządzone czytelnia. Sądzi, że tego rodzaju placówka będzie się cieszyła dużym powodzeniem.

19 grudnia w Mielcu odbyły się uroczystości, związane z obchodem 10-lecia pracy artystycznej zespołu teatralnego Zakładowego Domu Kultury tamtejszej WSK.

Z tej okazji zespół wystawił premierę sztuki Jana Pawła Gawiłki pt.: „Wybór”, w reżyserii Elwiry Turskiej (reżyser Teatru im. W. Siemaszkowej).

Wśród 21 laureatów dorocznych nagród ministra kultury i sztuki za osiągnięcia oświatowo-artystyczne w 1964 r. znaleźli się 3 zespoły z naszego województwa. Są to: Teatr Słowa Zw. Teatrów Amatorskich „Meluzyna” przy ZDK WSK w Rzeszowie, Towarzystwo Dramatyczne „Fredrum” w Przemyslu i zespół regionalny CPLIA „Korona” z Bojowej.

Oddział Wojewódzki Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie i Zarząd Wojewódzki ZMW zawarły ostatnio porozumienie z kierownictwem Teatru im. W. Siemaszkowej w sprawie kontynuowania w roku 1965 spotkań z reżyserami i aktorami tego teatru. Akcją tą objętych zostanie 14 ośrodków wiejskich (kluby książki i prasy „Ruch”, kluby — kawiarnie i zespoły teatralne).

Jak już informowaliśmy, we Wrocławiu odbył się centralny przegląd amatorskich zespołów małych form, w którym uczestniczyło 21 zespołów. Wśród 8 wyróżnionych w przeglądzie znalazł się zespół „Meluzyna” ZDK WSK Rzeszów za program pt.: „Nie odpowiedzialność” (estradowy przegląd historycznej anegdoty z muzyką i piosenką).

Pisząc o przygotowaniach zespołu do przeglądu wspomnieliśmy o nadziejach na laury i obecnie z przyjemnością odnotowujemy fakt uzyskania nagrody.

W ubiegłą niedzielę odbyło się uroczyste zebranie członków rzeszowskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, zorganizowane z okazji 30-lecia istnienia oddziału. Podczas zebrania prof. dr Zenon Klemensiewicz, prezes Oddziału Krakowskiego PAN omówił założenia pracy towarzystwa naukowych w Polsce, a miejscowi działacze podzielnili się wspomnieniami z dotychczasowej działalności.

Odbyło się zebranie powołanego ostatnio w Rzeszowie Klubu Literackiego. Podczas zebrania Roman Turak odczytał fragmenty swojej prozy, po czym odbyła się dyskusja, następnie Stefan Melkowski, krytyk literacki z Warszawy, pomógł o funkcji krytyki literackiej i zapoznał członków klubu z fragmentem eseju o twórczości Sławomira Mrożka.

## Trybuna dyskusyjna

### Fajerant, panowie poeci

Ucieszyłem się, kiedy przeczytałem artykuł Tadeusza Piekły pt. „Czy warto być poetą?”. Ucieszyłem się z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, iż faktycznie warto by się zastanowić nad problemem młodej poezji i młodych poetów, po drugie dlatego, że nadarza mi się okazja wypowiedzenia się na ten temat.

Jednak mimo tego entuzjastycznego początku muszę z wielkim żalem stwierdzić, że w dziewięćdziesięciu procentach nie zgadzam się ze zdaniem mojego poprzednika.

Przed wszystkim dziwny wydaje mi się sam tytuł artykułu. Dlaczego człowiek, który pisze wiersze od co najmniej ośmiu lat, zadaje sobie i nam, czytelnikom, takie pytanie: czy warto być poetą? T. Piekło twierdzi, że pisze, bo musi. Tym bardziej skoro musi, to czy warto być poetą, czy nie warto, pisać będzie. Ogólnie biorąc, pytanie zawarte w tytule przypomina mi pytanie typu: czy warto się żenić?

Następnym zagadnieniem, nad którym zastanawiałem się wraz z Tadeuszem Piekłą było pytanie: Co poeta ma z poezji? — Proszę mi wybaczyć, ale jest to pytanie równie śmieszne, jak i poprzednie. A co poeta chciałby mieć z poezji? Autor artykułu sugeruje trzy, pozwoli, że nazwę to, zachcianki. I. ŚLAWA, II. PIENIĄDZE, III. ZADOWOLENIE! Ślizie. Zastanówmy się więc nad wszystkimi trzema po kolei.

ŚLAWA.

Nauczyliśmy się narzekać na niemożliwość publikacji naszych utworów. Narzekanie to jest niesłuszne. Bo przecież mamy w najgorszym przypadku „Widnokrąg” i „Kamień”. Proszę przyjrzeć się takiemu Szczecińskowi, gdzie istnieje Oddział ZLP

i Klub Literacki, a gdzie nie ma nawet takiej gazety jak „Widnokrąg”. Albo Lublinowi, gdzie „Kamień” może dać pisać tyle samo, co i nam, a oprócz „Kamienia” istnieje tylko dwustronnicowy dodatek kulturalny do „Sztandaru Ludu”. Jako że mieszkam przez pewien czas w Lublinie, może mi T. Piekło wierzyć, że warunki publikacji, jeżeli nie są gorsze, to lepsze na pewno nie są.

Jeżeli chodzi o konkursy literackie, to czy po zdobyciu jakiegś nagrody nie wystarczy satysfakcja; czy potrzebny jest ten upragniony przez autora rozgłos? Wydaje mi się, że i bez tego nagroda nie traci na wartości.

PIENIĄDZE.

Tutaj Tadeusz Piekło narzeka, iż aby jeść trzeba pracować. Proszę sobie wyobrazić, o ile przyjemniejsze byłoby życie bez pracy. Fajerant, panowie. Popójmy człowiekowi kawę i pisał sobie wiersze. A te 80 czy 100 złotych przydałoby się na papierosy. Proponuję utworzenie instytucji utrzymującej młodych poetów. Sam chętnie skorzystam. Lecz bez żartów. Sam autor twierdzi, że z pisaniami nie mogą utrzymać się niejednokrotnie zawodowcy. Skąd więc pretensje, by mogli się utrzymać amatorzy, jeżeli można ich tak nazwać?

I jeszcze tak nawiasem mówiąc, chciałbym uzupełnić liczbę opublikowanych rocznie wierszy z czterech do dziesięciu. Biorę tu za przykład konkretny — siebie. A chyba innych możliwości, jak p. Piekło, nie mam. Zresztą i publikacje p. Piekły na pewno osiągnęły tę liczbę.

ZADOWOLENIE.

Cytuję: „Młody poeta nigdy nie jest zadowolony”. Dlaczego? Dlatego,

Jeżeli artykuł Tadeusza Piekły pt. „Czy warto być poetą?” zamieszczono w rubryce TRYBUNA DYSKUSYJNA, nie chyba nie stał na przeszkodzie, abym w tej sprawie zabrał głos.

Wydaje mi się, że pytanie: czy warto być poetą? — traci „nieco” k u p i e c k i m potraktowaniem poezji. Jeżeli pisanie wierszy traktować będziemy jako — tylko — źródło zarobków, czy też pole do zdoby-

cia sławy... niezbyt dobrze świadczyć to będzie o ludziach wznoszących się na skrzydłach poezji.

Oczywiście — czynnik materialny odgrywa pewną rolę w twórczości. „Spokojna głowa” o byt, wyeliminowanie trosk i kłopotów związanych z utrzymaniem rodziny, na pewno pozwala na zwiększenie płodności pisarskiej i być może na rozwój talentu. Ale... nie kto inny, lecz poeta i to poeta — przez duże P, powiedział kiedyś, że „nie głaśkało mnie życie po głowie, nie pijałem ptasiego mleka”. Widać więc, że i w trudnościach związanych z „borykaniem się” w życiu, można tworzyć i to dobrze, wspaniale tworzyć.

Wydaje mi się, że poezja wynikająca z codziennego życia, z codziennych trosk, a nawet niepowodzeń życiowych, może być dopiero dobrą poezją, poezją z życia wynikającą i ludziom służącą.

Praca zarobkowa (bez względu na zawód człowieka próbującego pisać), choć w pewnym sensie utrudnia pisanie i ogranicza czas, na pewno wzbogaca tematykę i zbliża poezję do ludzi. Zbliża, co wcale nie znaczy, że musi obniżać jej poziom.

Wielu poetów (może nawet wszyscy) swoje pierwsze utwory pisało w wyniku przeżyć osobistych (w grę wchodzi tu miłość do dziewczyny, jakiegoś pierwszego młodzieńczego sukcesu życiowego, niepowodzenia, rozczarowania, tragedie). A więc tematyka jak najbardziej związana z życiem.

Już „określił” poetę, wytrawni w przelewaniu myśli na papier, wiązali i wiązały swoje utwory z pracą, z wysiłkiem ludzkiej pracy.

Postawiam więc pytanie: czy pracując zarobkowo, w jakim bądź zawodzie, nie można pisać dobrych utworów? Chyba można.

Utykiwanie na to, że w ciągu roku młody poeta (jeżeli mu się po-

## Jak z tą bezinteresownością?...

cia sławy... niezbyt dobrze świadczyć to będzie o ludziach wznoszących się na skrzydłach poezji.

Oczywiście — czynnik materialny odgrywa pewną rolę w twórczości. „Spokojna głowa” o byt, wyeliminowanie trosk i kłopotów związanych z utrzymaniem rodziny, na pewno pozwala na zwiększenie płodności pisarskiej i być może na rozwój talentu. Ale... nie kto inny, lecz poeta i to poeta — przez duże P, powiedział kiedyś, że „nie głaśkało mnie życie po głowie, nie pijałem ptasiego mleka”. Widać więc, że i w trudnościach związanych z „borykaniem się” w życiu, można tworzyć i to dobrze, wspaniale tworzyć.

Wydaje mi się, że poezja wynikająca z codziennego życia, z codziennych trosk, a nawet niepowodzeń życiowych, może być dopiero dobrą poezją, poezją z życia wynikającą i ludziom służącą.

Praca zarobkowa (bez względu na zawód człowieka próbującego pisać), choć w pewnym sensie utrudnia pisanie i ogranicza czas, na pewno wzbogaca tematykę i zbliża poezję do ludzi. Zbliża, co wcale nie znaczy, że musi obniżać jej poziom.

Wielu poetów (może nawet wszyscy) swoje pierwsze utwory pisało w wyniku przeżyć osobistych (w grę wchodzi tu miłość do dziewczyny, jakiegoś pierwszego młodzieńczego sukcesu życiowego, niepowodzenia, rozczarowania, tragedie). A więc tematyka jak najbardziej związana z życiem.

Już „określił” poetę, wytrawni w przelewaniu myśli na papier, wiązali i wiązały swoje utwory z pracą, z wysiłkiem ludzkiej pracy.

Postawiam więc pytanie: czy pracując zarobkowo, w jakim bądź zawodzie, nie można pisać dobrych utworów? Chyba można.

Utykiwanie na to, że w ciągu roku młody poeta (jeżeli mu się po-

szczęści), piórem zarobi tylko 400 zł, wydaje mi się poniżeniem poezji. Wartość dobrego wiersza jest niewspółmierna do ceny wyrażonej w pieniądzu. Sensem pisania nie powinna być chęć zysku czy sławy, ale zadowolenie osobiste, potrzeba pisania (co zresztą T. Piekło stwierdza w swoim dyskusyjnym artykule, ale zbyt marginalnie — jakoś tak na uboku rozważań przepojonych sławą i pieniądzem).

Przy okazji, korzystając z tego, że zdecydowałem się już napisać coś nieco o poezji, pragnę powiedzieć parę słów o utworach autora „Czy warto być poetą?” (z pozycji odbiorcy).

Czytałem kilka utworów Tadeusza Piekły drukowanych w „Widnokregu” i bodajże w „Kamieniu”. Oprócz tego miałem możliwość usłyszeć 10 wierszy (w recytacji autora) w czasie spotkania z grupą młodych poetów woj. rzeszowskiego, zorganizowanego przez Zarząd Powiatowy ZMW w Przemyslu, w maju br.

Podoba mi się twórczość Piekły. Szczególnie udanym utworem wydaje mi się być „Kwiat z piór, czyli tłumaczenie wyobraźni”. Uderzyła mnie ciekawa konstrukcja tego wiersza i imponująca — jak na młodego twórcę — żonglerka słów i wyrazistość zawartych w utworze myśli.

Tadeusz Piekło jest dobrym poetą, nie brakuje mu talentu. Byłaby wielka szkoda, gdyby swoją dalszą twórczość uzielenił, li tylko, od pieniądza i na nim chciał budować sławę. Z całego serca mu tego nie życzę.

LEONARD CZAJKA